

{15}



PRELEKCJE MISTRZÓW

# *Prelekcje Mistrzów*

WYDZIAŁU FILOLOGICZNEGO  
UNIwersytetu w Białymstoku

Białystok 2020



*Marek Zagańczyk*

O PISANIU Z PODRÓŻY

**Seria Naukowo-Literacka „Prelekcje Mistrzów”  
Wydziału Filologicznego  
Uniwersytetu w Białymstoku**

Prelekcja 15

Redakcja serii: **Jarosław Ławski, Krzysztof Korotkich**

Redaktor tomu: **Jarosław Ławski**

Streszczenia: Dortekst

Według projektu graficznego Huberta Pilickiego, Alter Studio  
Zdjęcia: Krzysztof Korotkich, fot. na str. 5 – Sophie Kandaouroff

Copyright by Marek Zagańczyk

Białystok 2020

Copyright by Uniwersytet w Białymstoku

Białystok 2020

Skład: Krzysztof Rutkowski

PRYMAT Mariusz Śliwowski  
ul. Hetmańska 42, 15-727 Białystok  
tel. 602 766 304, 881 766 304  
e-mail: [prymat@biasoft.net](mailto:prymat@biasoft.net)  
[www.prymat.biasoft.net](http://www.prymat.biasoft.net)



ISBN 978-83-7657-362-5

 **Wydział  
Filologiczny**

**UNIwersYTET W BIAŁYMSTOKU**



**PRELEKCJE MISTRZÓW**



*Marek  
Zagańczyk*



# O PISANIU Z PODRÓŻY

Najchętniej zacząłbym tę opowieść od wierszy, bo to od poetów uczyć się przyglądać światu. Są malarzami bez farb, bez płótna. A jednak potrafią w słowach uchwycić bogactwo krajobrazu. Mówią, czym są podróże, jak wiele zapowiadają, choć nie zawsze dają nam to, o czym marzymy. Choćby dwa wiersze Konstandinosa Kawafisa. Pierwszy z nich, może najśłynniejszy, wielokrotnie tłumaczony na polski, mówi o korzyściach długiego wędrowania, zachęca nas, aby przedwcześnie nie kończyć podróży. Aby dać się ponieść, bo prawdziwa droga ciągnie się właściwie w nieskończoność, trwa przynajmniej tak długo jak nasze życie:

## Itaka

Skoro w wędrowkę ruszasz do Itaki  
chciej mocno, by twoja droga była długa,  
pełna przygód, pełna nowej wiedzy. [...]

Chciej mocno, by twoja droga była długa.  
Niech wiele na niej będzie letnich poranków,  
gdy – ach, z jakim zachwytem, z jaką rozkoszą! –  
wpływać będziesz do portów wcześniej ci nie znanych,  
zatrzymywać się będziesz w fenickich faktoriach,

by tam kupować różne piękne towary,  
masę perłową, korale, bursztyny, hebany  
i najrozmaitsze rozkoszne pachnidła,  
ile się da najwięcej rozkosznych pachnideł;  
odwiedzaj liczne miasta Egiptu,  
aby się uczyć, uczyć od mających wiedzę.

Zawsze Itakę noś w swoim umyśle.  
Dotrzeć tam kiedyś – to twe zamierzenie.  
Podróży jednak wcale nie przyspieszaj.  
Niech raczej wiele lat podróż ci zabierze,  
abyś jako starzec do brzegów wyspy dobił,  
bogaty wszystkim, coś po drodze zyskał,  
I wyzbyty nadziei na skarby Itaki.

(tłum. Ireneusz Kania)

Ten wiersz ma jednak swoje lustrzane odbicie w postaci innego utworu tego samego aleksandryjskiego poety. Tym razem dowiadujemy się, że podróż, jest właściwie złudzeniem, że tak naprawdę nigdy nie opuszczamy domu. Nosimy go stale ze sobą, a wraz z nim wszelkie smutki i strapienia, nawet jeśli zmienia się nasze miejsce w przestrzeni.

### Miasto

Powiedziałeś: „Do innego przeniosę się kraju, nad inne morze.  
Na pewno jest gdzieś inne, lepsze od tego miasto [...]”. [...]

Nie znajdziesz nowych miejsc, nad inne morze nie dotrzesz.  
Miasto pójdzie za tobą. Po drogach będziesz krążył  
tych samych. W tych samych dzielnicach się zestarzejesz,  
W tych samych domach posiwieją ci włosy.



Zawsze do tego samego trafisz miasta. Rzuć nadzieję,  
że jest dla ciebie statek w inne strony, albo droga.  
Tak, jakieś zrujnował swoje życie tutaj,  
w tym ciasnym kącie, zrujnowałeś je wszędzie.  
(tłum. Ireneusz Kania)

O tych dwóch poetyckich obrazach warto pamiętać, gdy ruszamy w podróż lub gdy wygodnie siedząc w fotelu czytamy o wędrownikach innych, niezależnie od tego czy idą blisko czy daleko.

Gdy czytam wiersze Kawafisa, nie przestaję myśleć o Zbigniewie Herbertcie, bo jest w nich obu, w tym, co i jak pisali, wyraźna bliskość. Wystarczy sięgnąć do wierszy, w przypadku rozmyślań o podróży wyjątkowo często przypominanych, do *Modlitwy Pana Cogito – podróżnika* i utworu, będącego cudownym przetworzeniem kawafisowej *Itaki*, pochodzącego z tomu *Elegia na odejście*, wiersza *Podróż*. Ich uważna lektura, a potem namysł nad kolejnymi linijkami właściwie zamyka w sobie wszystko to, co warto powiedzieć o podróży. Jest też jak dobry szkic autobiograficzny doskonałym wprowadzeniem do książek Herberta, do jego trylogii o kulturze europejskiej rozpisanej na trzy tomy: *Barbarzyńca w ogrodzie*, *Martwa natura z wędzidłem* i *Labirynt nad morzem*. W tych wierszach jest podziękowanie za piękno i różnorodność świata i namowa, aby wędrowanie nasze było:

[...] pozornie bez celu błędzenie po omacku  
żebyś nie tylko oczami ale także dotykiem poznał szorstkość ziemi  
i abyś całą skórą zmierzył się ze światem [...]

Więc jeśli będzie podróż niech będzie to podróż długa  
prawdziwa podróż z której się nie wraca

powtórka świata elementarna podróz  
rozmowa z żywiołami pytanie bez odpowiedzi  
pakt wymuszony po walce  
wielkie pojednanie.

Herbert należał bez wątpienia do tych twórców, którzy nie mogli żyć bez podróży. Zatrzaśnięty w powojennej Polsce jeździł po kraju i marzył o wypadach na południe Europy. A kiedy wreszcie udało mu się wymknąć robił wszystko, aby tkwić w podróży jeszcze długo po powrocie. Czytał, porządkował notatki, przyglądał się rysunkom szkicowanym w muzeach i miejscach, które wydały mu się wytchnieniem dla oczu i ukojeniem dla duszy. Te rysunki pozwalały mu pamiętać. Herbert właściwie nie robił zdjęć, potrafił za to, godzinami szkicować podziwiane pejzaże i obrazy w galeriach. A potem zamieniał je w słowa. Dzięki literackiej alchemii, właściwej tylko wyjątkowym poetom, dzielącym się z nami swoim talentem także w prozie, powstały szkice, których, nic nie potrafi zastąpić. Za każdym razem we Włoszech, w Grecji czy Holandii czuję się hojnie obdarowany mogąc czytać eseje Herberta. Za każdym razem zwracam uwagę na coś innego.

W książkach Herberta, tych okręconych wokół podróży, jest właściwie wszystko, sztuka i życie. I cenne podpowiedzi na co patrzeć, jak widzieć, a potem, co wyjątkowo istotne, jak to wszystko zapamiętać. Herbert jest przewodnikiem doskonałym, właściwie wyprzedza nasze pragnienia. Każdym zdaniem, obrazem, anegdotą, historią dawną i nową gotowy jest do zmierzenia się ze światem także w naszym imieniu, tych, co przychodzą później. Może najlepszym przykładem tej myślowej i pisarskiej doskonałości jest jego książka o Grecji *Labirynt nad morzem*, pozwalająca odnaleźć się wśród ruin dawnych miast, wśród pięknego, choć surowego greckiego krajobrazu, sprowadzonego najczęściej do kilku kolorów topniejących w słońcu, do ciągu wzgórz i wybrzeży roz-

łożonych na ogół w bliskości dwóch ścierających się błękitów: nieba i morza. Herbert podpowiada, że naszym sposobem na Grecję może być mit i historia, w tym także dzieje archeologicznych poszukiwań. Pozwala dodać do tego, co właśnie oglądamy żywy zapis wyciągnięty z przeszłości lub obraz wykonany z malarską precyzją, jakby był tworzony raczej delikatnymi pociągnięciami pędzla, cienką kreską wytrawnego malarza aniżeli słowem pełnym szumiących dźwięków. Dzięki Herbertowi czujemy się pewnie także na Akropolu. Umiemy bowiem docenić znaczenie tej chwili, gdy uświadamiamy sobie w jakim miejscu udało nam się stanąć. Możemy wówczas za poetą powtórzyć to proste, ale jakże ważne zawołanie: „I ja tu jestem”. A zaraz potem wsłuchać się w jego rozumne ostrzeżenie, które właściwie należałoby wpisać do podróznego notesu i stale mieć przy sobie:

Każdy kontakt z przeszłością wymaga wysiłku, pracy, jest przy tym trudny i niewdzięczny, bo nasze małe „ja” skrzeczy i broni się przed nim. Pragnąłem zawsze, żeby nie opuszczała mnie wiara, iż wielkie dzieła ducha są bardziej obiektywne od nas. I one będą nas sądzić. Ktoś słusznie powiedział, że to nie tylko my czytamy Homera, oglądamy freski Giotta, słuchamy Mozarta, ale Homer, Giotto i Mozart przypatrują się nam i stwierdzają naszą próżność i głupotę. Biedni utopiści, debiutanci w historii, podpalacze muzeów, likwidatorzy przeszłości podobni są do owych szaleńców, którzy niszczą dzieła sztuki, ponieważ nie mogą wybaczyć ich spokoju, godności i chłodnego promieniowania.

Gdy w 1840 roku Wiktor Hugo wyruszył w podróż wzdłuż Renu, pisał, że wędruje, aby oglądać drzewa i niebo, dwie rzeczy, których nie widuje w Paryżu. Dla uważnego obserwatora krajobraz jest jak partytura i trzeba umieć wydobyć z niego muzykę zaklętą w drzewach.

Podróźni – pisze Jerzy Stempowski – chodzący na niebezpieczne wyprawy, gdzie lada chwila mogą się spotkać z nieznanym, mają zwyczaj śpiewać. Są pieśni żołnierzy, pieśni pasterzy wędrujących przez pustkowia na nowe wypasy, pieśni marynarzy, pieśni pielgrzymów idących na południe przez skaliste przełęcze. Niepewni drogi, śpiewają pieśni swego kraju.

Czytać pejzaż to przede wszystkim docierać do ludzi, którzy przed wiekami nadali mu kształt. Trzeba być niespiesznym przechodniem wśród innych, widzieć świat w jego różnorodności, cenić szczegóły. W tym braku pośpiechu, w przymiotniku przeciwstawionym rzeczownikowi Paweł Hertz, poeta, tłumacz i wydawca, widział główną istotę podróźowania.

Stempowski jest w swych wędrowkach przede wszystkim nauczycielem dystansu. Wskazuje właściwą perspektywę, ironizuje, szuka rozwiązań najprostszych, bo te najczęściej okazują się skuteczne. Wpisuje je w pojedyncze zdanie, w maksymy zapożyczone od rzymskich czy berdyczowskich klasyków: „pozostań na uboczu, patrz swego”, „trzeba trzymać się z daleka, aby ubranie nie zajęło się od ognia, i czekać, aż się wszystko do reszty spali”, „z najgorszych przygód górskich wychodzi się cało, jeśli można na pół godziny zasnąć”, „najpilniejsze to czekać”.

Dzięki Stempowskiemu czytam i podróżuję dla przyjemności, bezinteresownie, bez planu. Jego teksty mówią o sprawach i miejscach ważnych, odpowiadają na stawiane im pytania. On sam pozostaje niewidoczny, skryty za doskonałością frazy. Każde wyznanie, każdą oznakę słabości, bólu czy strachu, tak częstych w podróży, traktuję jako istotne uzupełnienie jego portretu. Wówczas rozumiem, kim był ten samotny wędrowiec. Wyobrażam go sobie w młodości przemierzającego szlaki między Krakowem, Monachium, Bernem i Lozanną.

Stempowski należy do podróżników dawnego stylu, podobnie jak Herbert długo przygotowujących się do podróży, a właściwie odbywających ją wielokrotnie, zanim jeszcze wyruszą z domu. Nie szuka w podróży nowości, wie, że nie jest pierwszym człowiekiem na ziemi, że przed nim byli inni. Ci inni także go ciekawią. Wchodzi w ich ślad, rozpoznaje, dodaje komentarz. Gospodaruje w przestrzeni dzieł wspólnych. Takie jest jego zadanie. Nazywa to, co widzi i próbuje uczynić swoją podróż, swoje odkrycie ważnym także dla innych, przyszłych czytelników. A wszystko po to, aby uniknąć opisanej przez Miłosza „ontologicznej anemii”.

Stempowski rozumie, że podróżnik jest często jak Jonasz w brzuchu wieloryba. Musi mieć oczy jak ryby głębinowe, widzieć drogę i samego siebie. Zachować chwiejną równowagę między pisaniem o sobie i o świecie.

Stempowski podróżuje niczym Herodot opisany przez Ryszarda Kapuścińskiego. Ciekawią go losy świata, bieg historii, ale wędruje także, aby choć przez chwilę pozostać samotnie, z dala od zgiełku. Podróż, jak zauważył Kapuściński, wyzwala nas z „prowincjonalizmu przestrzeni”, a niektóre dzienniki podróży, w tym zapiski Stempowskiego, uwalniają nas także od „prowincjonalizmu czasu”. Podróż jest dla Stempowskiego początkiem opowieści o sprawach osobistych, kruchych, właściwie niepoddających się opisowi, jak miłość i śmierć.

Dzięki Stempowskiemu podróżuję więc do świata i do siebie. Patrzą na drzewa, słucham ludzi, czytam książki. I czasem mam poczucie, że ktoś opowiada także moją historię.

Na postać Patricka Leigh Fermora, kolejnego z ważnych dla mnie przewodników, natrafiłem czytając *Śródziemnomorską zimę* Roberta Kaplana.

Nie mogłem uwierzyć, że ktoś taki jak Fermor, z podobną biografią istniał naprawdę. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że nikt o nim w Polsce nie wspominał, nikt o nim nie słyszał. Tak, jakby ten klasyk anglojęzycznego podróżopisarstwa czekał specjalnie na mnie. Od pierwszej chwili, od pierwszej przeczytanej strony Fermora wiedziałem, że muszę zrobić wszystko, aby jego książki ukazały się po polsku. Dzięki wsparciu „Zeszytów Literackich” udało się opublikować *Mani* i *Czas milczenia* w doskonałym przekładzie Ewy Krasińskiej. Wiem, że dziś mają tę książki także u nas swoich oddanych wielbicieli. A ja traktuję obecność Fermora pośród polskich dzieł o podróżach za wyjątkowy powód do dumy, znacznie przewyższający to, co samemu udało mi się napisać. Wiele jeszcze przed nami, choćby trzy książki w dorobku Fermora najważniejsze *A Time of Gifts*, *Between Woods and Water* i *The Broken Road* będące zapisem jego podróży na piechotę z Holandii do Konstantynopola rozpoczętej w 1933 roku, jak łatwo się domyśleć w chwili, gdy dawny świat w dramatycznych okolicznościach dobiegał końca. Ileż opowieści, miejsc, postaci znanych i nieznanymi jest w tych książkach, ileż myśli o naturze świata tuż przed katastrofą. Ten odtworzony z pamięci, z niewielką pomocą cudem zachowanych i odzyskanych notatek zapis podróży nie ma sobie równych we współczesnej literaturze. To dowód szacunku i uwielbienia dla piękna przyrody i złożonych dziejów kultury, kalejdoskop rozmów, opisów, przytoczeń, a wszystko oddane z największym stylistycznym mistrzostwem. Bez tych książek nie można uświadomić sobie czym była podróż i pisanie z podróży w czasach poprzedzających II wojnę światową. A przecież twórczość Fermora zaczyna się tak naprawdę grubo po wojnie, choć z drugiej strony jego biografia zdaje się świadczyć raczej o tym, że najistotniejsze dla niego wydarzenia przypadły na lata tuż przed wojną i w trakcie jej trwania. Jest wśród nich między innymi sfilmowana później w Hollywood historia porwania na Krece niemieckiego generała Heinricha Kreipe. W postać Fermora wcielił się w filmie Dirk Bogarde.

Kiedy zacząłem czytać Fermora, uświadomiłem sobie, że jego grecka książka *Mani* jest jak głęboka studnia, w którą wpada się bez lęku i na długo. Fermorowi udało się bowiem uczynić z miejsca na krańcu greckiego świata nie tylko centrum Hellady, ale właściwie środek wszechświata. Co chwilę bowiem jesteśmy unoszeni dalej, w głąb Grecji, w głąb Europy. Podróżujemy w przestrzeni i w czasie. Odwiedzamy wieżowe domy, tak ważne dla tutejszego krajobrazu, wpatrujemy się w granat nocnego nieba, poprzecinanego gwiazdami. U Fermora są też ludzie spotkani w czasie wędrówki, towarzysze podróży i postaci wyciągnięte z głębi dziejów, które ożywają na kartach jego niezwykłej książki. Nie umiem się od niej oderwać. Zatapiam się w mitach, legendach, historiach dawnych i nowych. Czytam o żałobnych zawodzeniach i sile bizantyjskich ikon. Książki Fermora w odróżnieniu od jego własnej biografii są pochwałą życia bez napięć, bez walki, w jakiejś mierze bez z góry narzuconego celu. Ważne, aby dobrze wykorzystać blask letniego słońca, pilnować długich czerwcowych dni, cenić chłód morskiej wody, smak wina i prostych potraw. Nauczyć się trudnej sztuki utrzymywania się na powierzchni zdarzeń, cieszyć się pięknem świata i przeżywać je w zachwycie. Poruszające są w prozie Fermora strony będące pochwałą greckiego powietrza, portret chmur i wiatru, a pod nimi ziemi i morza, a więc tego, co właściwie nie podlega opisowi, co traktujemy jako oczywistość, bo towarzyszy nam na co dzień, a przez to najczęściej przestaje być widoczne. Lubię u Fermora zgodne współistnienie niemal uczonych fragmentów o akademickim charakterze i stron pisanych barwnym językiem, notatek z życia, szkiców z natury, świadectw obyczaju. Półwysep Mani staje się dla niego szkłem powiększającym, które można przyłożyć do innych miejsc, do innych widoków. Jest dowodem prawdziwej uwagi dla piękna. Udaną próbą przedstawienia urody tego, co inne, napotkane na drodze życia. Są w tej opowieści pejzaże, historie i ludzie. Są wartko zapisane rozmowy w naturalny sposób biegnące od spraw wysokich

ku dialogom prowadzonym na co dzień. Niewiele jest takich książek. Trudno wytłumaczyć, na czym polega ich czar. Zjawiają się nieproszone, mają ciężar zdarzeń przeżytych, są nie do usunięcia. Mówią o nas, choć nie zawsze wprost. W moich podróżach są mi szczególnie pomocne. Potrzebuję ich wsparcia. Często właśnie książki, czytane bez pośpiechu, w wakacyjnym rytmie, stają się ważniejsze od nowych pejzaży. Ofiarują więcej i dłużej tkwią w pamięci. Czytam je fragmentami, właściwie szukam w nich momentów zapamiętanych, podkreślonych, opatrzonych komentarzem. Dzięki nim granica między życiem i literaturą ulega zatarciu, a ja wyruszam w podróż może najbardziej udaną. Sam akt lektury, powolnego przewracania kartek ma w sobie rytm kroków stawianych na drodze. Kiedy wreszcie uda mi się wyjść z domu naprawdę nie zapominam o tych, co szli tą ścieżką przede mną. Staram się zawsze podziękować im za istnienie, uchylić kapelusza. Są dla mnie tak samo ważni jak drzewa w lesie, jak trawa na łące.

Wśród zdjęć Fermora, które lubię szczególnie, jest i takie, zrobione na płaskim dachu wieży po nocy spędzonej pod gwiazdami. Patrząc na nie uświadomiłem sobie, że nigdy nie zasypiałem pod gwiazdną czapą wśród migotliwego blasku. We Włoszech, w dolinie Orcii, między Sieną a Rzymem, gdzie często przebywam patrzyłem w niebo zachwycony przejrzystością powietrza, ale zawsze coś odwracało moją uwagę – plusk wody w zagłębieniu tuż przy rzece, świst nietoperza tnącego powietrze jak nożem. Gwiazdy były nade mną, ale jakby w nadmiarze, za blisko. Patrzyłem na nie jak w planetarium. Dla Fermora to granatowe niebo przynosiło ukojenie po trudach dnia. Było wytchnieniem dla oczu rozpalonych słonecznym żarem. W nocnych dekoracjach, jak w Schinklowskiej scenografii do *Czarodziejskiego fletu*, Fermor słyszał muzykę usypiającej przyrody, cieszył się grecką chwilą, która tu nad morzem, z dala od obowiązków trwa nieco dłużej niż gdzie indziej. Na dachu wieżowe-



go domu, w górze, jednak zawsze w bliskości ziemi myślał o greckich bogach niesprawiedliwie porzuconych, zepchniętych do lamusa, czekających, aż znów wyniesie ich miłosierna fala pamięci. Wiedział, że pogańscy bohaterowie najczęściej pojawiają się w książkach, a ich kult tajemnie praktykowany sprowadza się do aktu samotnej lektury. Ale to nie znaczy, że są nieprawdziwi, że ich nie ma, bo, jak mawia włoski eseista i wydawca Roberto Calasso,

przeświadczenie, że mitologia jest czymś, co można wymyśleć, świadczy o zarozumiałości, jakby o micie decydować mogła nasza wola, gdy tymczasem to mit decyduje o tym, co robimy.

Gdybym miał wskazać miejsce, gdzie najłatwiej spotkać nimfę lub ruszyć w pogon za kosmatym centaurem, wybrałbym ten niewielki pas ziemi wiodący do domu Fermora. Bo tu, między oliwkami, na ziemi rdzawej jak ceramiczna glina, dużo trudniej przystać na brak pogańskich stworów niż dziwić się ich obecności. Może dlatego jest w *Mani Fermora* rozdział o morskich i lądowych dziwadłach, o przemianie, której podlegają wspólnie ludzie i bogowie. Jest opowieść o współistnieniu pogańskiego i chrześcijańskiego nieba. „Niemał każda pięćdziesiąta greckiej ziemi – pisze Fermor – jest na swój sposób godna czci i spowita gęstwą legend [...]. Przybysz ma wrażenie, że jest pierwszym śmiertelnikiem, który oddycha pradawnym powietrzem, a starożytne legendy dopiero zaczynają się rodzić. Mitem jest każdy kamień i każdy strumień”.

Przyjacielem Fermora, młodszym od niego o ćwierć wieku był Bruce Chatwin. On także wiedział, i wielokrotnie dawał temu świadectwo, że prawdziwa podróż nie ma kresu. I pewnie dlatego wołał nomadów od Odyseusza. A jednak podobnie jak Herbert i Fermor ukochał Grecję. Był w niej szczęśliwy. Pod koniec życia przeszedł na prawosławie.

Chciał, by jego prochy zostały rozsypane w cichym zakątku Peloponezu, właśnie na Mani, nad domem Fermora. Powtarzał, że nikt nie stworzył lepszych przybytków dla Boga niż Grecy. Zmarł młodo w wieku czterdziestu ośmiu lat.

Nie tak dawno odwiedziłem to miejsce na niewielkim wzniesieniu, przy prawosławnej kaplicy, spod której widać tylko szczyty drzew i morze, tak jakby ktoś z rozmysłem usunął wszystko, co obce, co mogłoby zniweczyć ten wyjątkowy pejzaż. Byłem tam za późno, aby porozmawiać z Fermorem o Chatwinie, za późno, by w leżącym tuż obok niewielkim pensjonacie dojrzeć sylwetkę Chatwina, zmagającego się z rękopisem jednej z ostatnich książek. A jednak właśnie na Mani miałem wrażenie jego nieustającej obecności. Oczami wyobraźni widziałem Chatwina dyskutującego z Fermorem. I mogłem niemal dostrzec ich dwie wyraziste sylwetki przemierzające okoliczne wzgórza.

Chatwina czytano na ogół z podziwem, choć nie szczędzono złośliwości. Wielu próbowało przemierzyć jego ścieżki, spisując podobnie jak on swoje wrażenia w czarnych moleskinach. Wśród jego przyjaciół byli reżyserzy James Ivory i Werner Herzog, pisarze Gregor von Rezzori i Salman Rushdie. Także Claudio Magris, pisząc *Inne morze*, wyruszył do Patagonii, aby zmierzyć się z legendą najśłynniejszej książki Chatwina. Kevin Volans, wybitny kompozytor współczesny, marzył o muzycznej wersji *Ścieżek śpiewu*. Pomysłu nie udało się zrealizować, ale dzięki Chatwinowi skomponował operę osnutą wokół życia Rimbauda.

Niewielu jest pisarzy, którzy jak Bruce Chatwin zawładnęli moją wyobraźnią, choć nie potrafię powiedzieć, co o tym zdecydowało, jaka część jego osobowości przemawia do mnie najsilniej. Chatwin jest chyba najciekawszy, gdy notuje naprędce wszystko, co mu się przytrafiło, w czym

brał udział lub o czym przeczytał. Najważniejsze są zasady i teorie, które formułuje wyłącznie na własny użytek, by, jak uczył Montaigne, lepiej odnaleźć się w życiu.

Nie jest Chatwin jedynie pisarzem podróżnikiem, reporterem zanurzonym we współczesnym i dawnym świecie. Wypełnia swoje książki w sposób bliski poetom i niektórym powieściopisarzom. W spisanych przez niego historiach są momenty przeżyte i wymyślone, a właściwie dopowiedziane tak, by uzyskać lepszy efekt. Chatwin musi coś dodać, by historia wypadła prawdziwiej. Jak Grecy budowniczo wieź zmienia proporcje użytych elementów, aby całość nabrała wyraźniejszego charakteru.

Chatwin dzielił pisarzy na tych, którzy muszą pracować w blasku domowego ogniska, w ciszy i spokoju, i tych, którzy istnieją prawdziwie wyłącznie w podróży, potrzebują zmiany, ruchu lub przynajmniej życie skazuje ich na wieczne przemieszczanie. Jest więc w literaturze strona Flauberta, Tołstoja i Prousta, a zarazem ruchoma przestrzeń zajęta przez Melville'a, Hemingwaya czy Gogola. I choć sam Chatwin na pewno należał do pisarzy nomadów, przyznawał, że są miejsca, w których chętnie przystaje, aby pracować w skupieniu, domy, najczęściej będące własnością przyjaciół, gdzie łatwiej niż w podróży przychodzi mu zebrać myśli i pisać.

Są w książkach Chatwina miejsca odległe jak Ghana, Australia, Tybet i bliskie, na wyciągnięcie ręki, widziane z okna. Jest w nich historia i mitologia, prawda i zmyślenie. Te opowieści spisane w szczęściu i w chorobie są najwspanialszym portretem Chatwina, ułożonym z nieoszlifowanych kawałków, scalonych wbrew zdroworozsądkowemu nawykowi, jak na kubistycznych płótnach. To autoportret, w którym każdy fragment mówi o całości, choć czasami może się zdawać, że ton

tych historii, paleta kolorów, sposób, w jaki są przedstawiane, wzajemnie sobie przeczą, jakby pisane były za każdym razem przez kogoś innego.

Chatwin do końca życia uciekał od siebie, od tego, co zna i kocha, czego doświadczył. Unikał powtórzeń. Kiedy znużyła go praca w domu aukcyjnym Sotheby's, pośród martwego piękna rzeźb i obrazów, ruszył w podróż. Podjął ryzyko, zmienił swoje życie. Tak jakby dotarły do niego mocne słowa Rilkego wypisane w wierszu *Starożytny tors Apollina*:

każde miejsce tego głazu  
widzi cię. Musisz swoje życie zmienić.  
(tłum. Mieczysław Jastrun)

Chatwin nie potrafił się zatrzymać. Nawet gdy osiągnął sukces. Nawet gdy doskwierała mu śmiertelna choroba, której istnienia długo do siebie nie dopuszczał. Świat wydawał mu się zbyt ciekawy, by tkwić w miejscu. Czasami jego myśl i wyobraźnia wędrowały dalej niż jego własne stopy. Tak jakby stale powtarzał fragment z *Podróży* Baudelaire'a:

Lecz prawdziwi wędrowcy jadą od niechcienia,  
Lekko niczym balony wznoszące się w niebo,  
Posłuszni wyrokowi swego przeznaczenia,  
Zawsze wołają: „W drogę!”, nie wiedząc, dlaczego.  
(tłum. Maria Leśniewska)

Ciekawiły go dawne podania tkwiące w pamięci wyznawców. Traktował je niemal jak rodzinną opowieść. Choćby przekonanie, że Aborygeni nie rysują map, ale wyśpiewują je radośnie. Intonują sobie i światu pieśni stworzenia. Jakże blisko stąd do zapisu Stempowskiego o podróżnych nucących na drodze. Chatwin nie potrafił ograniczyć się do jednej

dziedziny. Tak jak nie lubił formuły pisarz podróżnik. Wolał czytać i patrzeć. Albo iść i pisać. Opowiadał sobie i innym, kim jest, co widzi, z kim się spotyka. Potrafił wydobyć z sytuacji to, co najważniejsze, szukał nowych wyzwań. Zbyt wiele go ciekawiło, aby zadowolić się wspomnieniami. Czas pamięci miał przyjść później. Ważne było barwne teraz.

Pomocy szukał także u innych pisarzy. W pierwszą podróż wyruszył z tomem Mandelsztama. Czytał *Podróż do Armenii*. Cytował *Rozmowę o Dantem*:

Przychodzi mi do głowy pytanie, ile zelówek, ile wołowych podszew, ile sandałów znosił Alighieri w czasie swojej pracy nad *Boską Komedią*, wędrując po kozich ścieżkach Italii. *Inferno*, a już zwłaszcza *Purgatorio*, wychwala chód człowieka, rozmiar i rytm kroków, stopę i jej formy. Prozodii Dantego dał początek krok zespolony z oddechem i nasycony myślą.

Chatwin szukał momentów równowagi, gdy świat odkrywa się w pełni. Pragnął, jak Cartier-Bresson, uchwycić tę zagadkową chwilę, zamknąć ją w szybkiej notatce. Pisał tak, jakby posługiwał się aparatem fotograficznym, nie piórem. Ale za jego stylem, żywym, skrótowym, stało zawsze oko, myśliwska zdolność patrzenia.

Na fotografiach, które przeglądam, Chatwin bywa zwykle radosny, choć rzadko się uśmiecha. Jest w nim jakaś lekkość, świetlistość. Strój ma najczęściej swobodny, dostosowany do podróży, zgodny z rytmem własnej prozy. Szkice i powieści, które napisał, zdają się doskonale pasować do tego wizerunku. Gdybym szukał portretu Chatwina, jego osobowości, w utworach innych pisarzy, wybrałbym kilka linijek z wiersza amerykańskiego poety Roberta Frosta w pięknym tłumaczeniu Stanisława

Barańczaka. Jest w nim mowa o „rozhuśtywaczu brzóz” istniejącym swobodnie, jak Chatwin, między niebem a ziemią, między życiem i marzeniem:

Sam niegdyś byłem też rozhuśtywaczem brzóz.  
I nieraz mam ochotę zostać nim na nowo –  
Wtedy, gdy mam już dosyć namysłów i decyzji,  
A życie jest zanadto jak puszcza bez ścieżek:  
Twarz śwędzi i łaskocze od wszystkich pajęczyn,  
Przez które się przedarła, jedno oko łzawi,  
Smagnięte witką, zanim zdążyłeś je przymknąć.  
Chciałbym móc się odrywać na chwilę od ziemi,  
A potem wracać na nią, by zacząć od nowa.  
I oby los nie udał, że mnie źle zrozumiał:  
Oby nie zaspokoił życzenia jedynie  
W połowie, porywając mnie stąd bezpowrotnie.  
Ziemia jest odpowiednim miejscem do kochania:  
Nie wiem, gdzie by to mogło udawać się lepiej.  
Co do mnie, chciałbym właśnie wspinać się na brzozę,  
Wdrapywać się po białym pniu, czarnych konarach  
Ku niebu – póki drzewo, nie mogąc wytrzymać,  
Nie schyli się i znów mnie nie zsadzi na ziemię.  
Dobrze byłoby dążyć tak i dobrze wracać.  
To nie najgorsza dola: rozhuśtywacz brzóz.

(tłum. Stanisław Barańczak)

Robert Frost należy do poetów, którzy łączyli w swoich wierszach pozorną prostotę, melodyjność i głęboką mądrość. I jeszcze pewien duchowy rygor myślenia. Frost cenił sobie rytm i rym. Mawiał, że poezja pozbawiona tych dwóch wyróżników przypomina grę w tenisa bez siatki. W czasie swojego pobytu w Anglii zaprzyjaźnił się z Edwardem

Thomasem. I znów, jak w przypadku relacji między Fermorem i Chatwinem możemy mówić o „prawych umysłów złączeniu”. Thomas był nałogowym wędrowcem. Zanim jednak zaczął przemierzać ścieżki biegnące wśród angielskich wrzosowisk poznał przedmieścia Londynu, gdzie się urodził. Od najmłodszych lat prowadził dziennik. Zapisywał w nim to, co udało mu się dostrzec. Uważnie, czasem wręcz maniakalnie, przyglądał się przyrodzie. Często przynosił ze spacerów jakiś rzadki kwiat czy skorupę ptasiego jajka, traktując je jak drogocenną zdobycz. Chętnie wspinał się na drzewa, ale nie był rozhuśtywaczem brzoź. Lubił wchodzić jak najwyżej, jak najbliżej nieba, by widzieć ziemię z innej perspektywy. Długie wędrówki odbywał ze swoją przyszłą żoną. Uczył ją rozpoznawać rośliny i ptaki, ale przede wszystkim uczył bycia szczęśliwym w podróży. Był trudny, a czasami okrutny w kontaktach z najbliższymi, nie radził sobie z nadmiarem miłości, którą go obdarowywali. Był samotnikiem z przekonania i melancholikiem z temperamentu. Z depresji, w którą często wpadał wydobywało go pragnienie wędrówki. Ścieżka w lesie była dla niego najlepszym lekarstwem. Ci, którzy go znali mawiali, że był kapryśny jak angielska pogoda. „Obfity deszcz potrafił wypłukać z niego duchowe załamanie albo zamienić jego wnętrze w grzęzawisko”. Po studiach w Oksfordzie zarabiał pisząc artykuły do gazet, głównie recenzje książkowe. Do głowy mu nie przyszło, że może być, że jest poetą, że kiedyś przyjaciel odkryje w nim ten wyjątkowy dar. Wyobrażam go sobie w tolkienowskim Shire, bo miał w sobie coś z hobbita i dobrze czułyby się w tych stronach. Ale w jego przypadku nie chodziło o to, aby coś zdobyć lub na zawsze stracić. Liczyła się sama wędrówka, niekończąca się sekwencja kroków i widoki, które temu towarzyszyły: cień buków i cisów na drodze, śpiew słowików, niebieska pręga na piórach sójki. Poza wędrówką Thomas czuł się uwięziony, zatrzaśnięty niemal jednocześnie w pracy i w miłości. W swych dalekich spacerach korzystał z dobrodziejstw natury, ale wiedział jak okrutny zbrodniczy poryw, jest w niej równocześnie

obecny. Wężowaty, zapętlony zarys ścieżki określał także sposób, w jaki pisał. Teksty Thomasa mają meandryczny charakter i łatwo się w nich zgubić. Jest w nich, zarazem w słowach jak i myślach, prawdziwie ja-skólcza zmienność lotu.

W 1913 roku Thomas poznał Roberta Frosta. Razem chodzili na dalekie wędrówki. Frost nazywa je rozmówko-przechadzkami, bo ważne było w nich nie tylko to, co się widzi, ale także to, co się mówi. Jedno i drugie mogło budzić radość i zdziwienie. To Frost odkrywa w Thomasie poetę. Bierze kilka linijek jego prozy i rozpisuje w formie wiersza. W ten sposób pokazuje, co kryje się naprawdę w tych utworach, co jest ich istotą. Pierwszy wiersz Thomasa powstaje 3 XII 1914 roku. Od kilku miesięcy trwa wojna. Frost wraca do Ameryki, zachęca przyjaciela do wyjazdu. Ten jednak zostaje, czuje się jak na rozdrożu, zastanawia się, czy nie powinien zaciągnąć się do wojska. I wtedy Frost wysyła mu swój wiersz *Droga nie wybrana*

Dwie drogi w żółtym lesie szły w dwie strony:  
Żałując, że się nie da jechać dwiema naraz  
I być jednym podróżnym, stałem zapatrzony  
W głąb pierwszej z dróg, aż po jej zakręt oddalony,  
Gdzie widok niknął w gęstych krzakach i konarach;

Potem ruszyłem drugą z nich, nie mniej ciekawą,  
Może wartą wyboru z tej jednej przyczyny,  
Że, rzadziej używana, zarastała trawą;  
A jednak mogłem skrócić tak w lewo, jak w prawo:  
Tu i tam takie same były koleiny,

Pełne liści, na których w tej porannej porze  
Nie znaczyły się jeszcze śladów czarne smugi.



Och, wiedziałem: choć pierwszą na później odłożę,  
Drogi nas w inne drogi prowadzą – i może  
Nie zjawię się w tym marnym miejscu po raz drugi.

Po wielu latach, z twarzą przez zmarszczki zoraną,  
Opowiem to, z westchnieniem i mglistym morałem:  
Zdarzyło mi się niegdyś ujrzeć w lesie rano  
Dwie drogi; pojechałem tą mniej uczęszczaną –  
Reszta wzięła się z tego, że to ją wybrałem.

(tłum. Stanisław Barańczak)

Thomas zrozumie te słowa jako krytykę swojego postępowania, zarzut postawiony przez przyjaciela, oskarżenie o brak zdecydowania, o to, że wybrał nie tę drogę, którą należało. Kilka tygodni później zgłasza się do wojska. W tym czasie, między obozem szkoleniowym a wyjazdem na front, powstaje blisko sześćdziesiąt wierszy, jego poetyckie dzieło. Można odnieść wrażenie, że Thomas czuł, że brakuje mu czasu, że każda wolna chwila powinna znaleźć swoje miejsce w linijce wiersza. W styczniu 1917 roku wyrusza do Francji. Wtedy też powstaje jeden z jego ostatnich utworów *Sowa*. Spotykają się w nim dwa światy, dwie rzeczywistości, dawne bezpieczeństwo i obecny niepokój.

Zszedłem w dolinę głodny, lecz nie wygłodniały;  
Zmarzłem, lecz tętno w ciele wciąż było gorętsze  
Niż północny wiatr; droga zmęczyła mnie, ale  
Tyle, by odpoczynkiem kusiło mnie wnętrze

Schroniska, gdzie mój cały głód, ziąb i zmęczenie  
Znalazł coś do zjedzenia, kominek i pościel.  
Noc została na dworze – cała noc; i tylko  
Jęk sowy, jęk głębokiej, posępnej żalości

Dobiegał sponad wzgórza, przeciągły, wyraźny,  
Drżący: żadnego echa radości w melodii –  
Proste powiadomienie o tym, przed czym mogłem  
Ujść tej nocy, w drzwi wchodząc – gdy inni nie mogli.

I był trzeźwiącą solą w śnie, ciepłe i chlebie  
Ten głos, którym ptak z dala umiał mnie tak przeszyć  
W imieniu tych, co noc tę spędzali pod niebem,  
Żołnierzy i nędzarzy – niezdolnych się cieszyć.

(tłum. Stanisław Barańczak)

Edward Thomas zginął 9 IV 1917 roku. Zabiła go, choć brzmi to nieprawdopodobnie, próżnia wywołana przez lot zabłąkanego, artyleryjskiego pocisku, który spadł, ale nie wybuch. Według relacji świadków Thomas runął niczym rażony niewidocznym gromem, jak ptak co czasami znie-nacka leci w dół jak kamień.

Edward Thomas jest patronem szkiców Roberta Macfarlane'a, zebranych w tomie *Szlaki* – na pewno najważniejszej książki, jaką ostatnio przeczytałem. Już w trakcie lektury miałem wrażenie, że zagłębiam się w opowieść, która została napisana nie tyle dla mnie, co właściwie za mnie, jakbym usłyszał w niej swoje drugie, lepsze, uważniejsze „ja”. Jakby jej autorem był ktoś, kim tak naprawdę chciałbym być albo przynajmniej ktoś z kim mógłbym długo rozmawiać, a przede wszystkim uważnie słuchać. Macfarlane mówił do mnie o miejscach, których nie widziałem i pewnie nigdy nie odwiedzę, ale mówił tak, że zdawało mi się, iż od dawna tkwią w mojej głowie. Kryje się za tą książką pewien wzór istnienia, sposób życia, który podziwiam, o którym marzę, choć wiem, że jest dla mnie nieosiągalny. *Szlaki* Macfarlane'a same są wędrówką. Pierwsze rozdziały tej książki są jak studiowanie mapy przed podróżą, czas przygotowania, wyznaczenie marszruty. Z tego, co przychodzi

później nie wszystko, niewiele daje się zapamiętać. W głowie zostają okruchy, błyski, szkic, ale liczy się sama lektura, która jest jak marsz w dobrym towarzystwie. W tej opowieści warto się zgubić i znaleźć, wytyczyć między kolejnymi historiami własny dukt, odkryć ścieżkę wśród wielości szklaków, płataniny nazw i nazwisk brzmiących nieznamo. W tej gęstwinie, oddanej z precyzją miniaturzysty, pojawiają się także postaci, takie jak Thomas czy Fermor będące dla mnie jak strzałka w lesie, upragniony drogowskaz, świadectwo, że moja myśl wędruje tam, gdzie trzeba. Nie da się zapanować nad książką Macfarlane’a. Trzeba do niej wracać. Iść z nią i przez nią wędrować. Jej lektura to marsz tropami innych, także wędrowka przez świat książek, w którym, jak podczas spaceru przez łąki i lasy nigdy nie jest się pierwszym, jedynym, samotnym. Ścieżka i książka są znakiem wspólnoty. Nieważne kto był przed nami. Marsz i lektura są do siebie podobne. Ścieżki nie da się stworzyć samemu, jest aktem zgodnego tworzenia wielu osób. Droga ma łączyć ludzi i miejsca. To jej główne zadanie i powód istnienia. „Tylko jeden krok – pisze Macfarlane – dzieli spacer od gawędy, a każda ścieżka coś nam opowiada”. Wędrowka pozwala na chwilowe opuszczenie świata, ale nigdy nie jest ucieczką od myślenia. Przeciwnie pobudza wzrok i umysł. Stąd blisko już do idei, najsilniej wyrażonej przez Nietzschego, że tylko „wychodzone myśli są coś warte”. Przekonanie – pisze Macfarlane – o tym, że „chodzenie może być myśleniem albo że stopy mogą widzieć, tylko w pierwszej chwili wydaje się obce i niezrozumiałe”. Podobnie jak myśl, że na ścieżkach odcisnęły się sny wszystkich podróżnych. Stawianie kroków może być więc sposobem postrzegania krajobrazu. „Zatem uczyć się znaczy w istocie podążać szlakiem”. W czasie wędrowki poznajemy przypisane do ścieżki opowieści, zaczynamy je rozumieć i łączyć. Czasami udaje nam się wyrazić to, co myślimy o odwiedzanych miejscach, dużo rzadkiej jednak uświadamiamy sobie, co te miejsca, myślą o nas. Macfarlane wspomina w swojej książce wiele osób. Są wśród nich niemiecki geolog Clemens Messerschmid, Miguel Angel Blanco, twórca

madryckiej biblioteki gromadzącej drobiazgową dokumentację odbytych podróży czy Eric Ravilious, angielski malarz i pasjonat wędrowania. Jest szkocka poetka Nan Shepherd i jej opisy górskich wypadów. To oni uczą nas uważnego bycia w podróży, to z nimi za Macfarlane'em odwiedzamy angielskie pustkowia, hiszpańskie lasy, pas ziemi niczyjej między Izraelem i Palestyną, przemierzamy groźne wody u wybrzeży Szkocji, aby w końcu uświadomić sobie, że podróż prawdziwa zaczyna się tuż za drzwiami naszego domu. Macfarlane wie ile odwagi potrzeba czasem, aby przekroczyć próg. Przypomina, że wiersz podziwianego poety, linijka dobrze wybranej prozy, może być kołem ratunkowym rzuconym we właściwym momencie. Książki nie przeszkadzają mu w podróży. W pamięci, jak w plecaku niesie ze sobą opowieści innych, bo dzięki nim pewnie i lekko stawia stopę, szerzej otwiera oczy.

Często podziwiam tych, którzy wędrują daleko i jadą na długo, tak jakby świat wycofał swoje żądania i dał im bilet nieograniczony w czasie, bez konieczności potwierdzania miejsca pobytu. Zazdroszczę im życia bez zobowiązań; możliwości podróży, gdzie oczy poniosą, bez celu, terminów i dokładnie wytyczonej marszruty. Niewielu potrafi wytrwać w podróży. Uznać wędrowkę zgodnie ze wskazówkami Herberta i Kawafisa za swój sposób życia i opisać ją tak, by oddając bogactwo świata, jego różnorodność, raz po raz docierać do miejsc i spraw wspólnych i niezmiennych. Może dlatego lubię książki Cendrarsa, Chatwina, Kapuścińskiego i Nicolasa Bouviera. Przy wszystkich różnicach wiąże je podobna intensywność doznań i radość czerpana z podróży. Jest w nich ton młodzieńczej przygody, chęć bezpośredniego zmierzenia się ze światem, z przeciwnościami, z samym sobą, ale jest też pragnienie wiedzy i świadomość kresu, którego cień stale nam towarzyszy.

Nicolas Bouvier w wieku siedemnastu lat wyruszył w pierwszą podróż przez zrujnowaną powojenną Europę. Wyjechał z notesem i aparatem

fotograficznym, tak jakby pamięć wymagała od niego podwójnego wsparcia w codziennych zapiskach oraz zdjęciach dokumentujących pejzaże i twarze poznanych osób. U Bouviera tekst i fotografia układają się niczym dwa wzory tej samej tkaniny, ale decydujące jest jednak słowo, książki wyrastające z podróży notatek. To one przemawiają najsilniej, począwszy od wydanej w 1963 roku podróży na Bliski Wschód, odbytej wspólnie z przyjacielem, rysownikiem Thierry Vernetem. Książka nosi tytuł *Oswajanie świata* i jest rzeczywiście próbą zapanowania nad ogromem rzeczy widzianych i przeżytych. I tak już do końca, do tomów ostatnich, niezależnie od miejsca będącego przedmiotem opisu i jego nasycenia niezwykłością. Czasami, jak na wyspie Arran, tematem medytacji staje się „nic, a właściwie niewiele” zakłete w pejzażu.

Bouvier ma dar odnajdywania formuł wolnych od uogólnienia, budowanych na szczegółowej obserwacji, doskonalonych i poddawanych próbie w zderzeniu ze światem prawdziwym. O Japonii pisze, że to kraj „Niczego za dużo”, doskonałych proporcji, uspokojenia, delikatnego rysunku. W *Kronikach japońskich*, książce, która przyniosła mu sławę, zachęca, by wędrówkę zacząć od początków, od religii i historii, bez nich bowiem niewiele da się przeniknąć. Japonia widziana przez Bouviera odbija się w lustrze zachodniej cywilizacji. Ma wiele wizerunków, w zależności od sposobu, w jaki na nią patrzymy. Budzi zachwyt i zdziwienie, podbija inne narody i sama bywa podbijana. Ceni i odrzuca własną historię. Trzeba w niej żyć i umiejętnie patrzeć, by widzieć ją, jak Bouvier, raz z bliska, na ulicy, na co dzień, kiedy indziej z oddalenia, w historii, w micie, w kunsztownym haiku.

Książki Bouviera pisane po zakończeniu wyprawy, są ucieczką na nowo, przygotowaniem do następnych podróży, zmaganiem ze światem, toczonym do końca, do długotrwałej choroby i śmierci w lutym 1998 roku. Bo, jak zauważył Bouvier:

Podróż nie potrzebuje uzasadnień. Rychło okazuje się, że jest celem sama w sobie. Sądzisz, że po prostu odbędziesz podróż, lecz to ona niebawem zaczyna cię kształcić i zmieniać.

Pod koniec życia Bouvier napisał szkic o swoim pokoju, z którego nie mógł już nigdzie wyruszyć. Cieszył się w nim obecnością ukochanej osoby i książek towarzyszących mu od dawna. Zapełnił ten pokój przedmiotami kupionym na pchlim targu, ale najczęściej miejsca zajmowała w nim jego własna pisarska wyobraźnia. To dzięki niej wracał do podróży, to dzięki niej znów pakował się w przygodę. Tym razem nie jechał daleko. Był jakby pod drugiej stronie Kawafisowego obrazu wędrownicy. Ale nie czuł się nieszczęśliwy, zrujnowany. Wiedział, że nie ma już dla niego statku w inne strony. Że jedzenie, ciepło słonecznego blasku przesuwającego się po pokoju, sen i książka to wszystko, czego potrzebuje, „*ultima thule* jego błędzących pragnień”. I jak Pan Cogito u Herberta dziękował swoim bogom, że stworzyli świat piękny i różny. Podobnie jak inni wędrowcy, jak Stempowski, Fermor, Chatwin, Thomas, Macfarlane i ci, których czytam przy innej okazji, jak Sebald czy Walser, był tym światem uwiedziony „na zawsze i bez wybaczenia”.



Plakat zapowiadający Prelekcję Mistrzowską  
Marka Zagańczyka



Dr hab. Violetta Wejs-Milewska, prof. UwB otwiera Prelekcję Mistrzowską Marka Zagańczyka



Prelekcja Marka Zagańczyka. Na pierwszym planie: dr hab. Krzysztof Korotkich, mgr Anna Artysiewicz; w głębi, od prawej: dr Krzysztof Puławski, prof. Dariusz Kulesza, dr hab. Grzegorz Moroz, prof. UwB





Prelekcja Marka Zagańczyka



Wykładowcy, doktoranci i studenci Wydziału Filologicznego zgromadzeni na prelekcji Marka Zagańczyka



Marek Zagańczyk wygłasza Prelekcję Mistrzowską,  
Białystok, 14 stycznia 2020 roku

# PRELEKCJA

## *Marka Żagańczyka*

14 stycznia 2020 roku gościem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku był Marek Żagańczyk – znany eseista, wydawca, wieloletni zastępca redaktora naczelnego „Zeszytów Literackich”, pisma świetnie znanego miłośnikom literatury, kultury wysokiej. Jest on także kuratorem spuścizny, zarządcą archiwum Pawła Herta, którego dzieła zebrane wydaje. Marek Żagańczyk opublikował następujące zbiory esejów i szkiców: *Krajobrazy i portrety* (1999), *Droga do Sieny* (2005), *Cyprysy i topole* (2012) *Berlińskie widoki* (2019). Pasją Żagańczyka jako pisarza i miłośnika historii pozostaje od lat Italia.

Właśnie o podróżach do Włoch, w głębie Śródziemnomorza – literackie i rzeczywiste – Marek Żagańczyk opowiadał w styczniowe południe (o godz. 11.30) w Auli Wydziału Filologicznego w ramach cyklu wykładów gościnnych Prelekcje Mistrzów, zainicjowanego w 2017 roku. Tytuł wykładu brzmiał: *O pisaniu z podróży*. Prelegenta zapowiedziała i przedstawiała dr hab. Violetta Wejs-Milewska, prof. UwB. Autor skupił się przede wszystkim na XX-wiecznych świadectwach, relacjach z podróży, nie tylko zresztą pisanych prozą. W polu zainteresowania prelegenta znalazły się liryki Konstandinosa Kawafisa, eseje podróżnicze Zbigniewa Herberta, refleksja Jerzego Stempowskiego i Pawła Herta

o podróżopisaniu, *Śródziemnomorska zima* Roberta Kaplana, twórczość Edwarda Thomasa, Roberta Frosta, Roberta Macfarlane'a, Nicolasa Bouviera. Długa, fascynująca, eseistyczna podróż przed teksty i kraje, przez kraje-teksty, zakończyła się osobliwą pochwałą „bogów” za to, że „stworzyli świat piękny i różny”.

Prelekcji wysłuchała grupa studentów, doktorantów oraz literaturoznawców z Wydziału Filologicznego. Po prelekcji Gość odpowiedział na kilka pytań słuchaczy, wśród których byli między innymi: prof. Dariusz Kulesza, dr hab. Grzegorz Moroz, prof. UwB, dr Barbara Olech, dr Krzysztof Puławski, dr hab. Krzysztof Korotkich, mgr Anna Artysiewicz.

# MAREK ZAGAŃCZYK

Eseista, redaktor, wydawca. Wieloletni zastępca redaktora naczelnego „Zeszytów Literackich”.

W latach 1989–1991 członek redakcji miesięcznika „Teatr”; wykładowca na Wydziale Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie (1990–2009). W wydawnictwie „Zeszytów Literackich” zainicjował i przez wiele lat prowadził wielokrotnie nagradzaną serię „Podróże”, w której ukazały się m.in. polskie wydania dzieł: Claudio Magrisa, Pawła Muratowa, Sándora Máraiego, Tomasa Venclovy, Matteo Collury, Patryka Leigh Fermora oraz książki Ewy Bieńkowskiej, Julii Hartwig, Zbigniewa Herberta, Wojciecha Karpińskiego, Jerzego Stempowskiego, Tomasza Różyckiego, Annemarie Schwarzenbach. Do jego prac edytorskich należą m.in. edycje szkiców Jana Kotta i Erwina Axera, korespondencji Jarosława i Anny Iwaszkiewiczów z Pawłem Hertzem, korespondencji Jarosława Iwaszkiewicza i Józefa Rajnfelda, korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Katarzyną i Zbigniewem Herbertami oraz edycja listów Jerzego Stempowskiego do różnych adresatów.

Od 2001 jest kuratorem archiwum i spuścizny Pawła Hertza oraz redaktorem jego dzieł zebranych (Państwowy Instytut Wydawniczy). W 2013 roku staraniem Marka Zagańczyka biblioteka Pawła Hertza została przekazana do Wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, a znaj-

dujące się w jego pieczy archiwum Pawła Hertza w Warszawie zostało uporządkowane i służy badaczom literatury.

Autor tomów szkiców: *Krajobrazy i portrety* (1999), *Droga do Sieny* (2005), *Cyprysy i topole* (2012), *Berlińskie widoki* (2019).

Przewodniczący programu Rezydencji im. Marii i Kazimierza Brandysów w Krasnogrudzie, członek polskiego PEN Clubu.

Stypendysta m.in. Fonds d'Aide Aux Lettres Polonaises Indépendantes w Paryżu (1992); Société Historique et Littéraire Polonaise w Paryżu (1993); Akademie der Künste w Berlinie (2011); Fondazione Santa Maddalena w Donnini pod Florencją (2014). W 2016 został wyróżniony Stypendium im. Albrechta Lemppa, a w 2019 Fondation Heinrich & Jane Ledig-Rowohlft w Lavigny, Szwajcaria.

W 2012 roku za wybitne osiągnięcia w pracy twórczej oraz działalności publicystycznej i wydawniczej, za zasługi w popularyzowaniu literatury został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

**MAREK ZAGAŃCZYK, O PISANIU Z PODRÓŻY [ON TRAVEL WRITING],  
PUBLISHED IN THE “PRELEKCJE MISTRZÓW” [MASTER TALKS],  
SERIES OF LITERARY STUDIES, ED. BY JAROSŁAW ŁAWSKI AND  
KRZYSZTOF KORTKICH, VOL. 15, ED. BY JAROSŁAW ŁAWSKI, FACULTY  
OF PHILOLOGY, UNIVERSITY OF BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2020**

## *Summary*

On January 14<sup>th</sup>, 2020, the Faculty of Philology of the University of Białystok had the pleasure to host Marek Zagańczyk, a renowned Polish essayist and publisher. For many years, he worked as a deputy editor-in-chief of “Zeszyty Literackie” [Literary Notebooks], a journal well known to every lover of Polish literature and high culture in general. As the curator of Paweł Hertz’s legacy and archives, Marek Zagańczyk has worked on the publication of his selected works. Zagańczyk has authored several collections of essays and literary sketches: *Krajobrazy i portrety* [Landscapes and Portraits] (1999), *Droga do Sieny* [The Road to Siena] (2005), *Cyprysy i topole* [Cypresses and Poplars] (2012) *Berlińskie widoki* [Views of Berlin] (2019).

Much of his activity as an author and amateur historian has been shaped by an enduring passion for Italy. It is not surprising therefore that his talk was devoted to journeys – both literary and real-life ones – to Italy and the Mediterranean. The lecture, titled *On travel writing*, was delivered on a January afternoon in the Faculty Auditorium as part of the *Master Talks* series of guest lectures, initiated in 2017. The speaker was announced and introduced by prof. dr Violetta Wejs-Milewska of the University of Białystok. In his lecture, Marek Zagańczyk focused on twentieth-century travel reports and testimonies written in prose

or in verse. He discussed poems by Constantine P. Cavafy, travel essays by Zbigniew Herbert, reflections of Jerzy Stempowski and Paweł Hertz on travel writing, *Mediterranean Winter* by Robert D. Kaplan, works by Edward Thomas, Robert Frost, Robert Macfarlane, and Nicolas Bouvier. The fascinating journey through texts and countries, through countries as defined by texts culminated with a praise to gods for 'having created this world, so beautiful and so diverse'. At the centrepiece of his lecture, there was a reflection on the writings by the Swiss author Nicolas Bouvier (1929–1998): "Bouvier's travel books were written in preparation for new journeys, new destinations of escape from the mundane. They were part of his struggle with the world, a battle he fought until the very end – a long terminal illness that led to his death in February 1998. For, as Bouvier once noted, 'A journey does not need reasons. Before long, it proves to be reason enough in itself. One thinks that one is going to make a journey, yet soon it is the journey that makes or unmakes you'.

Shortly before his death, Bouvier wrote an essay about his room, a place from which there was no more escape. In that room, he could enjoy the presence of his beloved wife and of the books that had accompanied him throughout his life. His last abode was cluttered with bric-a-bracs bought at the local flea market; but it was Bouvier's creative imagination that occupied most of the space in the room. It is his imagination that could take him back on the road and make him experience new adventures. This time the journey would not be long. One could say that Bouvier found himself on the other side of Cavafy's image of a journey. Although he realised that there was no ship left in the harbour that would carry him away, he did not feel unhappy or destitute. He had all he needed: food, sleep, the warmth of the sunshine moving through the room, a good book. He has reached 'the *Ultima Thule* of his wanderlust'. And, just like Zbigniew Herbert's poetic persona, Mr. Cogito, he thanked gods for having created this world, so beautiful and so diverse. Like



other travellers I have mentioned today – Stempowski, Fermor, Chatwin, Thomas, Macfarlane – as well as those I have discussed on other occasions, like Sebald and Walser, Nicolas Bouvier was seduced by this world ‘forever and without redemption’”.

The lecture was attended by students and literary scholars from the Faculty of Language and Literature. After the lecture, Marek Zagańczyk answered questions and had an informal talk with members of the audience.



Budynek Wydziału Filologicznego oraz Wydziału Historii i Stosunków  
Międzynarodowych Uniwersytetu w Białymstoku, Plac NZS-u 1

**MAREK ZAGAŃCZYK, À PROPOS DE L'ÉCRITURE DE VOYAGE, SÉRIE SCIENTIFIQUE ET LITTÉRAIRE «CONFÉRENCES DE MAÎTRES» ÉDITÉE PAR JAROSŁAW ŁAWSKI ET KRZYSZTOF KOROTKICH, VOLUME 15, ÉDITÉ PAR JAROSŁAW ŁAWSKI, FACULTÉ DE PHILOLOGIE, UNIVERSITÉ DE BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2020**

## *Résumé*

Le 14 janvier 2020, la Faculté de philologie de l'Université de Białystok a accueilli Marek Zagańczyk – un essayiste bien connu, éditeur, rédacteur en chef adjoint de longue date de «Zeszyty Literackie» (Cahiers littéraires), un magazine bien connu des amateurs de littérature et de haute culture. Il est également le conservateur de l'héritage et directeur des archives de Paweł Hertz, dont les œuvres collectées sont publiées par lui. Marek Zagańczyk a publié les recueils d'essais et de croquis suivants: *Krajobrazy i portrety* (Paysages et portraits) (1999), *Droga do Sieny* (Route de Sienne) (2005), *Cyprysy i topole* (Cyprés et peupliers) (2012) *Berlińskie widoki* (Vues de Berlin) (2019). En tant qu'écrivain et passionné d'histoire, Zagańczyk est aussi passionné par l'Italie depuis de nombreuses années. Ce sont ses voyages en Italie, dans les profondeurs – littéraires et réels – de la Méditerranée, dont Marek Zagańczyk a parlé à midi en janvier dans l'Auditorium de la Faculté de philologie dans le cadre de la série «Conférences de Maîtres», initiée en 2017. Le titre de la conférence était: *À propos de l'écriture de voyage*. L'orateur a été annoncé et présenté par le dr hab. Violetta Wejs-Milewska, professeur de l'Université de Białystok. L'auteur s'est concentré principalement sur les témoignages du XXe siècle, les rapports de voyage, pas seulement en prose. L'orateur s'est intéressé à la poésie de Constantin Cavafy, aux essais de voyage de Zbigniew Herbert, à une réflexion de Jerzy

Stempowski et Paweł Hertz sur l'écriture de voyage, à *L'hiver méditerranéen* de Robert Kaplan, aux œuvres d'Edward Thomas, Robert Frost, Robert Macfarlane, Nicolas Bouvier.

Un long et fascinant voyage essayiste à travers les textes et les pays s'est terminé par un éloge particulier des «dieux» pour «créer un monde beau et différent». Le point central des délibérations de Zagańczyk fut une réflexion sur les écrits du Suisse, Nicolas Bouvier (1929–1998): «Les livres de Bouvier, écrits après la fin de l'expédition, sont à nouveau une évasion, une préparation aux prochains voyages, une lutte avec le monde, poursuivie jusqu'au bout, jusqu'à une longue maladie et la mort en février 1998. Car, comme le note Bouvier: «Un voyage n'a pas besoin de justification. Il s'avère bientôt que c'est une fin en soi. Vous pensez que vous allez simplement partir en voyage, mais bientôt cela commence à vous éduquer et à vous changer».

À la fin de sa vie, Bouvier écrivit un croquis de sa chambre, d'où il ne pouvait plus aller nulle part. Il a longtemps apprécié la présence d'un être cher et les livres qui l'accompagnaient. Il a meublé cette pièce avec des objets qu'il avait achetés à un marché aux puces, mais sa propre imagination littéraire y occupait le plus d'espace. C'est grâce à elle qu'il est revenu à son voyage, c'est grâce à elle qu'il s'est replongé dans l'aventure. Cette fois, il n'est pas allé loin. Il était, pour ainsi dire, de l'autre côté du tableau des errances de Cavafy. Mais il ne se sentait pas malheureux, ruiné. Il savait qu'il n'y avait plus d'autre bateau pour lui. Que la nourriture, la chaleur de la lumière du soleil qui traverse la pièce, le sommeil et un livre sont tout ce dont il a besoin, «une ultima thule de ses désirs errants». Et comme M. Cogito d'Herbert, il a remercié ses dieux d'avoir créé un monde beau et différent. Comme les autres vagabonds, ceux que j'ai cités comme Stempowski, Fermor, Chatwin, Thomas, Macfarlane et ceux que j'ai lus à une autre occasion,

comme Sebald ou Walser, ont été séduits par ce monde «pour toujours et sans pardon».

La conférence a été suivie par un groupe d'étudiants, de doctorants et d'érudits littéraires de la Faculté de philologie qui, après la conférence, ont eu l'occasion de poser des questions et de parler à l'invité.



Kampus Uniwersytetu w Białymstoku, ul. Konstantego Ciołkowskiego 1

# *Spis treści*

Marek Zagańczyk <i>O pisaniu z podróży</i> .....	7
Jarosław Ławski <i>Prelekcja Marka Zagańczyka</i> .....	35
Marek Zagańczyk – biogram .....	37
Summary.....	39
Résumé.....	43

## **Tomiki wydane w Serii Naukowo-Literackiej „Prelekcje Mistrzów”**

- I.** Wojciech Kass, *Światło jasnie gość*, red. Z. Fałtynowicz, Białystok 2017.
- II.** Magdalena Popiel, „*Artysta jest obecny*”. *Problem tożsamości artysty nowocześniejszego i ponowoczesnego*, red. J. Ławski, Białystok 2018.
- III.** Anna Legeżyńska, *Jasny dialog z mrocznymi siłami. Opowieść o Julii Hartwig*, red. J. Ławski, Białystok 2018.
- IV.** Andrzej Strumiłło, *O Władysławie Strzemińskim. Wykład*, red. M. Rogala, Białystok 2018.
- V.** Julian Maślanka, *Wspomnienie o Ryszardzie Kazimierzu Lewańskim. W setną rocznicę urodzin*, red. K. Rutkowski, Białystok 2018.
- VI.** Lucjan Suchanek, *Aleksander Sołżenicyn. Emigracja. Emigrantologia*, red. K. Korotkich, Białystok 2019.
- VII.** Teresa Kostkiewiczowa, *Pod znakiem Klio. Pamięć zbiorowa w polskiej poezji drugiej połowy XVIII wieku*, red. Ł. Zabielski, Białystok 2019.
- VIII.** Larisa Ratsiburskaia, *Nowe procesy w słowotwórstwie języka rosyjskiego*, red. A. Romanik, Białystok 2019.
- IX.** Stanisław Dubisz, *Periodyzacja rozwoju polszczyzny, a w szczególności jej dziejów najnowszych (1939–2019)*, red. U. Sokólska, Białystok 2019.
- X.** Maria Kalinowska, *Grecka podróż Zbigniewa Herberta – z Juliuszem Słowackim w tle?*, red. K. Korotkich, Białystok 2019.
- XI.** Elżbieta Muskat-Tabakowska, *Tłumacz (literatury) i gramatyka – śmiesz, tuman, czy przestrasza?*, red. D. Karczewski, Białystok 2019.
- XII.** Antoni Libera, *Radykalny sceptycyzm*, red. K. Korotkich, Białystok 2020.
- XIII.** Józef Olejniczak, *Lęki jestem’u*, red. K. Korotkich, Białystok 2020.
- XIV.** Jarosław Mikołajewski, *Lojalność poety i tłumacza*, red. J. Ławski, Białystok 2020.
- XV.** Marek Zagańczyk, *O pisaniu z podróży*, red. J. Ławski, Białystok 2020.
- XVI.** Kamila Budrowska, *2020: o roku ów! Literatura i kryzysy*, red. J. Ławski, Białystok 2020.